ANDERS ROSLUND

BÖRGE HELLSTRÖM

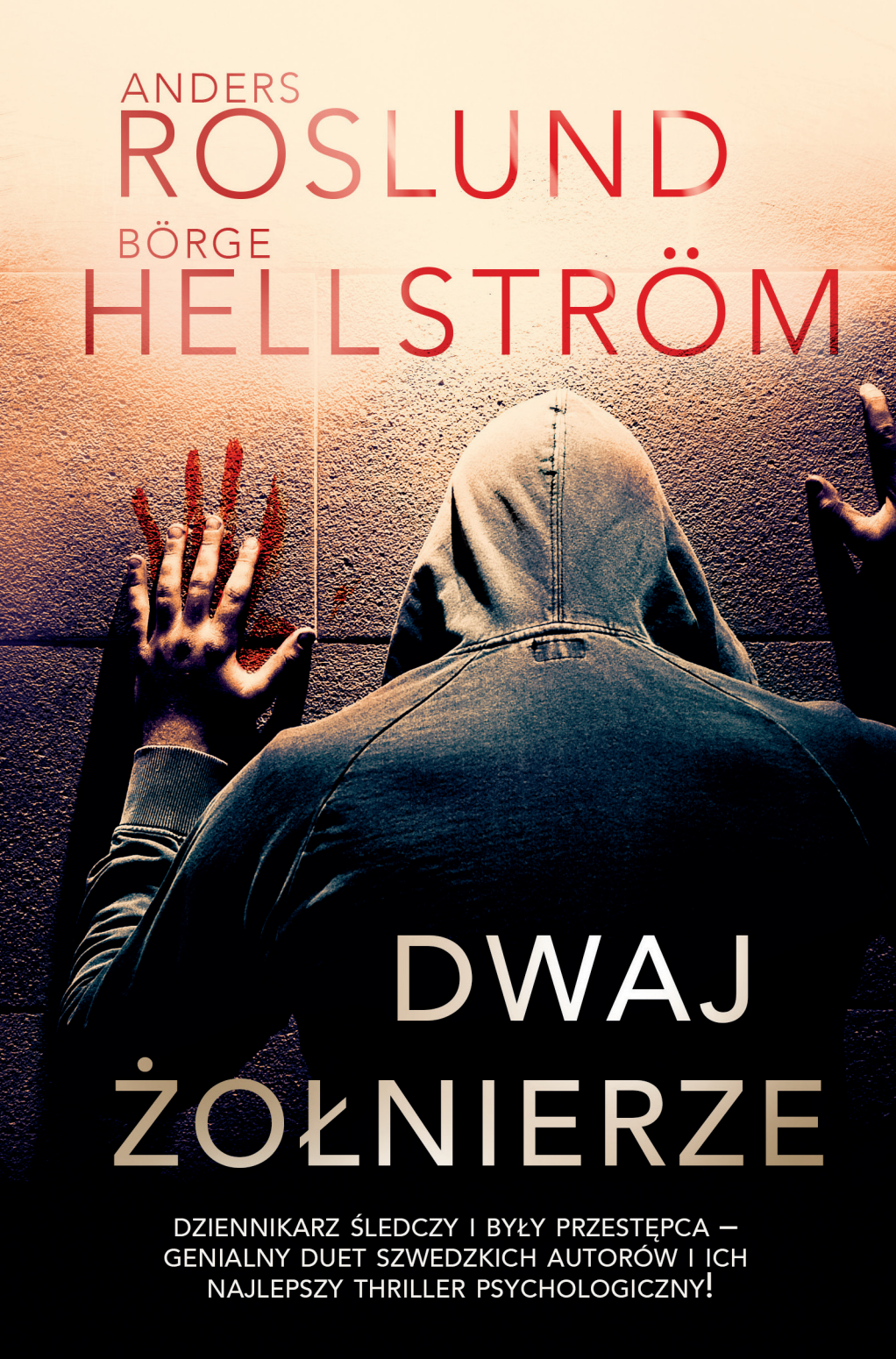

DWAJ ŻOŁNIERZE

DZIENNIKARZ ŚLEDCZY I BYŁY PRZESTĘPCA – GENIALNY DUET SZWEDZKICH AUTORÓW I ICH NAJLEPSZY THRILLER PSYCHOLOGICZNY!

Leży tu już tak długo.

Ciągle słyszy ludzkie głosy.

A może kroki.

Słyszy ich, gdy idą długim korytarzem. Jedni poruszają się szybko, inni jakby się wloką; czasem jej się wydaje, że zatrzymują się tuż przy metalowych drzwiach, jak gdyby nasłuchiwali. Chce do nich wtedy zawołać, poprosić, żeby weszli do środka i potrzymali ją za rękę. Nigdy tego nie robią. Idą dalej, a ich kroki giną w monotonnym dźwięku maszyn i głośnym brzęczeniu lamp — stuk, bzz, stuk, bzz. Zamyka oczy, ale nie ma odwagi zatkać uszu — stuk, bzz, stuk, bzz — jest sama, ale wcale tego nie chce.

♦ ♦ ♦

Ma dziwną twarz.

Może mieć szesnaście, siedemnaście, a nawet osiemnaście lat.

Wygląda staro. Może to z powodu bólu albo strachu, a może jej ciało w zupełnie inny sposób pochłania czas i pozwala mu, żeby robił swoje.

Wygląda na to, że leży wygodnie. Nosze na wózku są dość szerokie, ona ma drobne ciało. Pokój jest znacznie większy od innych. Stoi w nim łóżko, szafka na ubrania, stół i krzesło, jest też prysznic. I chociaż oprócz niej w pokoju przebywa jeszcze osiem osób, właściwie jest tu prawie pusto. W nogach stoi kobieta w zielonym fartuchu, która przesuwa dłonią po szorstkim materiale tam i z powrotem, jakby chciała ją ogrzać. Potem zbliża dłoń do jej ud, czubkami palców dotyka podbrzusza. W drugiej dłoni mocno zaciska igłę,

trzydziestocentymetrową plastikową rurkę kieruje w stronę miękkiej błony, przezroczystego pęcherza pełnego wody. Pęcherz ugina się i wraca do poprzedniego stanu, więc znowu kłuje go igłą i jeszcze raz, aż pęcherz poddaje się i pęka.

⬩ ⬩ ⬩

Słyszy kroki. Ktoś się zatrzymał i zaraz odszedł.

Trochę dalej ktoś otwiera drzwi. Ktoś inny krzyczy, a może płacze, trudno rozróżnić.

Otwiera oczy. To, co teraz widzi, jest białe, prawie błyszczące; gołe lampy i maszyna z cyferkami, zielonymi liniami i cienkimi kablami; dopiero po dłuższej chwili jej oczy zaczynają się przyzwyczajać.

Już tak nie boli. A może to ona jest wytrzymała? Jak podczas miesiączki. Właśnie tak. Tylko ten ból jest silniejszy, dłużej trwa i częściej powraca.

Dwie kobiety w pokoju mają na sobie zielone fartuchy. Pozostała szóstka — trzy kobiety i trzej mężczyźni — jest ubrana w białe fartuchy, spod których wystają czarne spodnie i czarne buty.

Kobiety w zielonych fartuchach stoją blisko, reszta dalej, prawie pod ścianą.

Nikogo z nich nie zna, chyba nie... chociaż chwilę, poznaje tamtą kobietę, która tu pracuje. Poznała też tamtego faceta, który wyważył drzwi w jej mieszkaniu, krzyczał na nią, powalił na podłogę, przycisnął i skuł kajdankami.

⬩ ⬩ ⬩

Teraz już łatwiej patrzeć. Odwraca się w stronę okna. Na dworze jest ciemno i zimno, wszędzie leży głęboki śnieg. Kilka dni temu robiła tam orła: położyła się na ziemi, rozkładała nogi i ramiona, aż musieli ją przywołać do porządku; podeszli, złapali ją za ręce i wnieśli do środka. Teraz w tamtym miejscu, na samym środku dziedzińca, stoi karetka pogotowia. Dziewczyna próbuje wstać i podejść do okna, żeby pomachać strażnikowi stojącemu przy przednich drzwiach samochodu. Kiedy mężczyzna oddycha, z jego ust wydobywają się kłęby gęstej pary.

— Nie wstawaj.

Kobieta w zielonym fartuchu patrzy na nią i wzdycha. Chude ciało dziewczyny na łóżku wydaje się takie drobne, jakby nie pasowało do tego miejsca.

— Połóż się.
Ale nie tutaj.
Pokój, korytarz, metalowe drzwi, kraty.
— Słyszysz? Połóż się.

⬩ ⬩ ⬩

Ramiona w zielonym fartuchu dotykają jej rąk, piersi, nóg, ciągną za twardy brązowy pas na plecach, kierują elektroniczne ramię dokładnie w ten punkt na brzuchu, gdzie serce bije najmocniej, sto siedemdziesiąt cztery uderzenia na minutę. Coraz mocniej i mocniej.

Ma już duże rozwarcie, prawie dziewięć centymetrów, do końca zostało naprawdę niewiele.

⬩ ⬩ ⬩

Przypomina jej to fale ognia.

Jakby ją coś uderzało, popychało, naciskało. Wszystko to dzieje się wewnątrz jej ciała, ale nie ona o tym decyduje.

⬩ ⬩ ⬩

Znowu patrzy w stronę zakratowanego okna. Okrągłe czarne pręty są tuż przy szklanej szybie. Na zewnątrz — przed ogrodzeniem i drutem kolczastym — leży biały śnieg, na który pada światło reflektorów. Jest zupełnie inne, jeśli porównać je ze światłem ulicznych latarń. Karetka nadal stoi przy śnieżnej zaspie, strażnik macha rękoma, żeby się rozgrzać. Wystarczy lekko unieść głowę i się przesunąć na łóżku, by zobaczyć też inny samochód. Niewielki, szary, ciemny.

— Wody?
— Odeszły.
— Główka?
— Przy kręgosłupie.

Obie kobiety w zielonych fartuchach wciąż jej dotykają, rozmawiają z nią. Reszta stoi w milczeniu pod ścianą.

Leży tu ze względów bezpieczeństwa.

Tak jej powiedzieli.

Istnieje ryzyko porwania.

⬩ ⬩ ⬩

Fala. Ogień. Ucisk. Uderzenie. Wysiłek.

Głośno krzyczy.

Pierś, którą uciska kanał rodny, woda wyciśnięta z płuc i powietrze, które je napełnia — pierwszy oddech.

To nie ona. Teraz już wie. To nie ona krzyczy.

⬩ ⬩ ⬩

Przez krótką chwilę czuje na brzuchu coś mokrego i ciepłego. To dziecko. Jej dziecko. Patrzy na nie, kiedy dwie, a potem cztery ręce podnoszą je, niosą przez pokój, przez drzwi i dalej korytarzem, aż dziecko znika.

⬩ ⬩ ⬩

Kobieta i mężczyzna — to oni trzymali jej dziecko, to oni z nim wyszli i wrócili bez niego. Teraz zdejmują białe fartuchy, pod spodem widać dżinsy i marynarki. Kobieta sięga po teczkę, wypełnia dokument, potem następny i kolejny. W drugim końcu pokoju stoją pozostałe osoby, które prawie zablokowały wyjście. Do tej pory w ogóle się nie odzywały. Dwie spośród nich, kobiety, mają pod białymi fartuchami niebieskie mundury strażników więziennych i plastikowe identyfikatory na lewej piersi. Obok nich stoją mężczyźni. Są ubrani w zwykłe garnitury zamiast mundurów, ale ona i tak wie, że to policjanci. Jeden z nich jest dobrze zbudowany, po czterdziestce. To inspektor policji kryminalnej. Drugi to aspirant, starszy od niej tylko o kilka lat.

Nie zna ich, a jednak oni widzieli ją nagą, patrzyli, jak się wypróżnia.

⬩ ⬩ ⬩

Dziecko leżało na jej brzuchu, czuła jego oddech, miało lekko wilgotne usta.

Powinni okryć kocem to różowe ciałko, miękkie i gładkie, którego nikt jeszcze nie brał na ręce.

⬩ ⬩ ⬩

Znowu spogląda przez zakratowane okno. Położna i salowa otwierają drzwi białej karetki pogotowia, w rękach trzymają przenośny inkubator, niczym torbę. Tuż za karetką stoi szary samochód osobowy; para w dżinsach i marynarkach otwiera przednie drzwi i wsiada do środka.

Samochody jadą asfaltową alejką biegnącą wzdłuż wysokiego ogrodzenia i drutu kolczastego. Brama powoli się otwiera i samochody rozjeżdżają się w dwóch kierunkach. Jeden rusza w stronę szpitala w Örebro, drugi kieruje się do Botkyrki, jej rodzinnego miasta.

Zastanawia się, czy jezdnia jest śliska, czy ciężko prowadzić samochód nocą, gdy droga taka długa.

♦ ♦ ♦

Od dawna nie wypowiedziała ani jednego słowa.

Nie protestowała, gdy zabierali dziecko leżące na jej brzuchu; nie odezwała się, gdy oba samochody opuszczały teren więzienia dla kobiet o zaostrzonym rygorze.

Teraz wokół niej panuje całkowita cisza. Chyba tego nie wytrzyma.

Odwraca się w stronę jedynego człowieka, który pozostał z nią w pokoju. To policjant, ten po czterdziestce, który powalił ją na ziemię i zabrał z domu.

— Widział pan?

Policjant drgnął, zamyślony. A może po prostu zapomniał, jak brzmi jej głos?

— Co?

Pokazuje na swój brzuch, który nadal lepi się od wilgoci. Chyba powinna go wytrzeć, tę przezroczystą wilgoć i tę zabarwioną od krwi.

— To był chłopiec czy dziewczynka?

Na dworze było już jasno.

Czerwono-żółty koc z drobnym białym obramowaniem nie zasłaniał całego brudnego okna.

Teraz to dostrzegł.

Prowadzili zazwyczaj nocny tryb życia; spali za dnia i budzili się, gdy zapadał wieczór, który później zamieniał się w noc; jednak w sierpniu, między innymi z powodu tego pieprzonego koca, który był mniejszy, niż powinien, dzień zaczynał się dla nich mniej więcej o tej porze. Im bardziej zaciskał powieki, tym większa robiła się przezroczysta plama przed oczami; rosła i powoli wdzierała się w jego mózg i pierś.

Uderzył pięścią w ścianę i usiadł. Materac, na którym spał, znajdował się do niedawna w pewnej willi w Hägersten. Kosztował dziesięć tysięcy koron. Był gruby, czworokątny, z błyszczącym spodem.

Obok spała Wanda, całkiem naga.

Miała taką miękką skórę. Leżała cicho odwrócona do niego plecami. Przesunął delikatnie dłonią po jej biodrach, pośladkach, udach. Poruszyła się niespokojnie, przewróciła na bok. Chyba coś jej się śniło, tak się wydawało: miała napiętą twarz i pocierała jedną stopą o drugą. Często tak robiła.

On też był nagi. Czasem zapominał, jakie to dziwne. Że ktoś z nim jest, ktoś, kto widzi jego nagie ciało i się nie śmieje. Czasem się zastanawiał, czy tylko sobie to wyobraża. Kiedyś był przekonany, że widzi to w oczach innych. Teraz już nie jest taki pewien. Zaczęło się od Leona. Mieli wtedy po jedenaście lat i któregoś dnia znaleźli się razem w pokoju, a gdy się rozbierali, w oczach Leona nie dostrzegł ani wstrętu, ani szyderstwa, ani nawet zdziwienia. Do tej pory tylko Leon

tak na niego patrzył, nikt inny. On sam nie oglądał się nawet w lustrze. Te, które wisiały w domu matki, stłukł. U babci w przedpokoju wisiało inne lustro: długie, szerokie. Za każdym razem, gdy koło niego przechodził, odwracał wzrok. Dokładnie wiedział, kiedy lustro na niego patrzy i kiedy powinien odwrócić wzrok.

Przyglądał się Wandzie.

Przed nią nie miał kobiety. Ona nic nie mówiła, nie bała się, nie unikała go ani nie wypytywała.

Położył dłoń na jej biodrze. Obudziła się i spojrzała na niego spod przymkniętych powiek. Popatrzyła na szczelinę między kocem a framugą okna, która wpuszczała smugę światła. Dotykała czubkami palców jego pleców, grubej skóry o nierównych brzegach, jakby ktoś położył elementy układanki jeden na drugim zamiast obok siebie. Po wszystkim długo na niej leżał i odpoczywał. Wcześniej miała okres, oboje intensywnie pachnieli.

Nie był zmęczony, chociaż powinien. Był wczesny ranek, a oni budzili się zazwyczaj późnym popołudniem. Przespali zaledwie trzy godziny. Czasem tak bywało.

Wytarł się do sucha w prześcieradło i sięgnął po maść w białej tubie, która zawsze leżała koło łóżka. Natarł nią stopy, nogi, tułów, plecy, brzuch, szyję. Wszystko z wyjątkiem twarzy. Tej nie naciera nigdy.

— Gabriel, podaj mi ją.

Spojrzał na nią.

— Co?

— Podaj mi tubkę. Nasmaruję cię. Sam nie zrobisz tego jak należy. Nie dosięgniesz do ramion i pleców.

Wyciągnęła rękę po śliską, zatłuszczoną tubkę, ale on uderzył ją mocno otwartą dłonią w palce. Na dwóch pojawił się czerwony ślad. Spojrzał na nią, a ona spuściła wzrok. Odwrócił się i zaczął sobie smarować pierś i uda.

Przeszli z sypialni do dużego pokoju. Na narożniku, w fotelu i trochę dalej na podłodze spali w ubraniach pozostali: Jon, Duży Ali, Javad, Bruno. Śmierdziało od nich alkoholem.

Gabriel zaczął ich trącać, potrząsać nimi.

— Co jest, kurwa...

Uderzył Javada w twarz.

Nie powinna była sięgać po tubę z maścią.

— Obudź się, bracie.

— Dlaczego?

Gabriel podszedł bliżej.

Nie powinna była mu proponować, że nasmaruje mu plecy.

— Bo ja już wstałem.

Niedopałki papierosów, puszki, strzykawki, butelki leżały na szklanym blacie stołu zaplamionym żółtawym sosem, wśród wyplutych łupinek orzechów i resztek pizzy. Obudzili się, ale nie wstawali, zmęczeni po zaledwie dwóch godzinach snu. Gabriel pochylił się nad ekranem nowego telewizora. Z czterech głośników przez całą noc dobiegał monotonny dźwięk odbijający się od ścian pokoju. Kiedy wyłączył telewizor, wszyscy drgnęli, a stos filmów na środku pokoju nagle się zachwiał i przewrócił.

W przedpokoju zawsze było pusto.

Żadnych mebli, dywanów, lamp.

Był tam tylko jeden jedyny mebel. Stał oparty o ścianę i lśnił dwoma rzędami białych pereł, którymi wysadzane były jego krawędzie. To narożnik na obuwie. Bardzo mu się podobał i dlatego często poprawiał jego ustawienie. Ważne, żeby on i jego dziewczyna widzieli go za każdym razem, gdy wchodzą do mieszkania albo z niego wychodzą. Narożnik był częścią łupu z włamu do willi w Södertälje. Wszystko z wyjątkiem narożnika sprzedali paserowi w Nacka.

A ona ciągle była naga.

Pocałował ją w piersi, podał jej dżinsy i krótką koszulkę z błyszczącym nadrukiem. Jego własne ubranie nadal leżało na balkonie: czarne spodnie z białą lamówką, szara bluza z kapturem i czerwona bejsbolówka.

Poczuł głód. Rzadko mu się to zdarzało o tej porze dnia.

Zajrzał na najwyższą półkę w lodówce i znalazł tam resztkę coca-coli.

Z półki w spiżarce wziął torebkę żelków. Oddzielił czerwone od zielonych.

Na dworze wiało, lżej będzie się oddychać.

Kiedy szli obok siebie, po raz kolejny stwierdził, że jest ładna. A on? Sam wiedział najlepiej, że nie był przystojny. Kiedy minęli pierwszy parking, skierowała się w stronę srebrnego bmw wartego przynajmniej osiemset pięćdziesiąt tysięcy w gotówce. Chwycił ją za rękę. Nie ten i nie dzisiaj. Wrócił pamięcią do swojej przeszłości i porównał ją z teraźniejszością i tym, co będzie kiedyś. Znał tu każdy betonowy dom, każdą asfaltową alejkę, słyszał to, czego nikt inny nie potrafił usłyszeć, rozróżniał wszystkie zapachy, na przykład zapach spalonej sortowni

śmieci i zapach pustego kiosku, w którym jako chłopak kupował słodycze, gazetki pornograficzne, haszysz. Rozpoznawał nawet słodki zapach, którego od dawna już nie ma. Zapach kramu z owocami na rynku. Te gnojki powinny zapłacić mu więcej.

Całe Råby było puste.

Na asfaltowych podwórkach panowała cisza, nawet koce w oknach wisiały nieruchomo. Odwrócił się do Wandy, popatrzył na jej twarz, zajrzał jej w oczy i zaczął się zastanawiać, co ona tu widzi. Wanda pochodziła z innego świata, oddalonego stąd o wiele kilometrów. Widziała Råby takie, jakie jest teraz, i nic poza tym. Nie znała go takim, jakie było kiedyś, gdy działo się tu więcej.

Metro. Jest jak żywa niebieska żyła biegnąca przez coś, czego już nie ma.

Ten obraz i ten zapach lubił chyba najbardziej.

Zeszli po schodach, mijając drobnego, niskiego chłopaka. Wyglądał na dziesięć lat, ale był o dwa lata starszy. Na szyi miał gruby złoty łańcuch, włosy zaczesane do tyłu.

— Gabriel.

Chociaż chłopak zwrócił się do niego po imieniu, Gabriel nawet nie spojrzał w jego stronę.

— Gabriel!

Gabriel zatrzymał się, odwrócił i wbiegł schodami na górę.

Chłopak uśmiechnął się z dumą i wyciągnął do niego rękę.

— Siema, bracie.

Drugą dłonią przesunął po zaczesanych włosach, bardziej się wyprostował.

Mocne uderzenie.

Policzek.

Od razu pojawił się na nim odcisk po jednym z pierścieni.

— Chyba wiesz...

Gabriel spojrzał na niego, ale chłopak nie tracił fasonu. Stał przed nim dumnie wyprężony. Głos miał natarczywy, nawet wtedy, gdy ponownie wyciągnął w stronę Gabriela chudą rękę. Nie chciał ustąpić.

— ...że jestem Eddie? Miłość, bracie.

Tym razem Gabriel już go nie uderzył.

Zbiegł po schodach i przeszedł obok kasjerki, która nie odezwała się ani słowem, nawet wtedy, gdy odwrócił się do Wandy i dał jej znać, żeby poszła za nim. Za bilet nie zapłaciła i nikt nie kazał jej płacić.

Oparli się o okno, szyba chłodziła im czoła. Mijali stacje, które

niczym się od siebie nie różniły.

Takie same bloki, tacy sami ludzie w drodze do domu albo do pracy.

Hallunda, Alby, Fittja, Masmo, Vårby, Vårberg, Skärholmen. Dwanaście i pół minuty.

Wysiedli z metra i przeszli przez dom towarowy, który po każdym remoncie coraz bardziej przypominał galerię handlową i coraz mniej było w nim życia. Za szklanymi ścianami przy ruchomych schodach rozciągał się parking, który mógł pomieścić do trzech tysięcy samochodów. Skierowali się na sam koniec, gdzie były nowe szyldy i nowe kolory. Jednak zapach pozostał ten sam — pachniało wilgocią i spalinami.

Gabriel sięgnął po torbę z nadrukiem „Adidas" i wybrał samochód, starszy model Mercedesa. Najłatwiejszy cel.

Włączył stoper w zegarku i ustawił go na 00:00, a następnie położył się plecami na asfalcie. Zgiął nogi i wsunął tułów pod samochód, trzymając obie ręce wysoko nad twarzą. 00:05. Wcisnął się w ciasną przestrzeń pod podwoziem i odszukał czerwony cienki kabel połączony z klaksonem. Do przecinania czerwonego plastiku zawsze używał wąskich nożyczek, takich, jakimi posługują się fryzjerzy. Wysunął się spod wozu i wyprostował. Wyjął świeżo naostrzony śrubokręt i włożył go do zamka w baku paliwowym. 00:11. Potem objął kluczem francuskim uchwyt śrubokrętu, przekręcił go i niemal słyszał, jak spada ciśnienie powietrza i wszystkie drzwi w samochodzie otwierają się jednocześnie.

Spojrzał w stronę wyjścia, uniósł rękę i szybko ją opuścił. Wanda zauważyła jego ruch. Można było jej ufać.

Nadal byli tu sami.

Usiadł w skórzanym fotelu za kierownicą i wyjął z torby szczelinomierz. 00:15. Potrzymał go w żarze zapalniczki, wsunął w stacyjkę i przekręcił. Znowu go podgrzał i znowu przekręcił. Zrobił tak kilka razy. 00:24. Stopił ostre plastikowe końcówki, które mogłyby zaczopować otwór stacyjki.

Wanda uniosła rękę.

Jakieś głosy.

Kroki. 00:28.

Wsunął do stacyjki czubek długopisu i zaczął nim poruszać, żeby sprawdzić, czy nic go już nie blokuje. Wyjął jeden z wielu kluczyków samochodowych leżących na dnie torby — nie miało znaczenia który, bo każdym z nich i tak potrafił od razu uruchomić każdy starszy model

Mercedesa — i spojrzał na stoper. 00:32.

W czasie roboty niewiele rozmawiał z Wandą. Nigdy tego nie robił.

Przecież nie miał jej nic do powiedzenia.

Wyjechał z dużego podziemnego parkingu dla klientów centrum handlowego i jadąc powoli środkowym pasem, minął południowe przedmieścia Sztokholmu. W oddali pojawił się zarys centrum miasta. Przyspieszył i zjechał na lewy pas. Zmierzali na północ, mieli do pokonania ponad czterdzieści kilometrów. Zazwyczaj zatrzymywali się przed czworokątną witryną na stacji benzynowej Shella przy zjeździe na Täby. Wanda chodziła tam do brudnej toalety na zapleczu i przygotowywała się do wizyty, podczas gdy on odwiedzał sklep, brał z regału dwie cole i patrzył na kasjerkę. Gdy wychodził ze sklepu, kasjerka odwracała wzrok. Nigdy się nie odzywała, pewnie często widywała takich jak on facetów o aroganckim spojrzeniu. Nie opłacało się ryzykować z powodu puszki wartej osiemnaście koron.

Usiadł za kierownicą, włączył muzykę na pełny regulator i postawił colę na desce rozdzielczej. Dwadzieścia minut później z toalety wróciła Wanda. W takich sytuacjach zawsze obserwował, czy porusza się normalnie, czy ma brudne ubranie na plecach od leżenia na twardej podłodze i czy z zewnątrz coś widać.

Zjechali z głównej drogi przy zjeździe na Aspsås. W oddali ujrzeli wieżę kościelną, miasteczko i więzienie. Parking przy zakładzie karnym był prawie pusty. Zawsze parkował jak najdalej od głównego wejścia, w pobliżu wysokiego muru.

Miał osiemnaście lat. Wanda siedemnaście.

Nie odwiedzali zbyt wielu miejsc, rzadko jeździli gdzieś dalej, ale wizyta w tym miejscu była dla nich czymś oczywistym.

Wanda poprawiła dżinsy i sweter i za osłoną chroniącą przed słońcem zaczęła szukać lusterka. Niestety, nie znalazła go tam. Przekręciła więc boczne lusterko samochodu i uśmiechnęła się. Po chwili wysiadła z wozu i ruszyła przed siebie, a Gabriel pojechał w stronę kościoła stojącego dwa kilometry dalej. Poczeka na nią przy ścieżce biegnącej wzdłuż kilku rzędów nagrobków na przykościelnym cmentarzu.

Kiedy Wanda doszła do bramy, odwróciła się w stronę kamery i mikrofonu.

— *Słucham?*

W głośniku rozległy się trzaski typowe dla wszystkich głośników przy więziennych bramach.

— Ja z wizytą.
— *Do kogo?*
— Do Leona Jensena.
Strażnik w niebieskim mundurze zaczął przeglądać listę gości, które zgłosiły odwiedziny.
— *Jak się pani nazywa?*
— Wanda.
— *Jak?*
— Wanda Svensson.
Zrobiło jej się zimno. Wiatr ustał, słońce oświetlało betonowe ściany. Marzła i pociła się zarazem.
Po chwili rozległo się kliknięcie i drzwi się otwarły.
Wolnym krokiem podeszła do okienka w dyżurce. Strażnik popatrzył na nią.
— Dowód poproszę.
Chyba robiło się chłodniej. Wanda coraz bardziej marzła, drżała na całym ciele.
— Pani już tu wcześniej była?
— Tak.
— No to wie pani, dokąd iść. Proszę się tam rozebrać.
Duszny pokój z jednym zakratowanym oknem. Widać przez nie mur.
Do jednej z wielu skrytek włożyła pęk kluczy, cztery monety dziesięciokoronowe i oba telefony komórkowe. Zamknęła ją na klucz i ruszyła wolnym krokiem w stronę bramki kontrolnej. Kluczyk od skrytki trzymała w ręce.
Zewsząd dobiegał monotonny dźwięk, który pochłaniał całą jej uwagę.
Muszą cię sprawdzić.
Podeszło do niej dwóch umundurowanych strażników, żeby sprawdzić, dlaczego na bramce, na wysokości jej talii, pali się czerwona lampka.
— Kieszenie.
Zrobiło jej się zimno, gorąco i znowu zimno.
Udała, że przeszukuje kieszenie, ale kluczyk od skrytki nadal trzymała w ręce. Po raz drugi przeszła przez bramkę i znowu rozległ się przeszywający dźwięk.
Leon wydał polecenie.
Muszą cię przeszukać.
— Znowu na wysokości talii.

Jeden ze strażników ustawił dwa stołki w odległości pół metra od siebie, drugi przyniósł wydłużony plastikowy czujnik. Kazali jej wejść na oba stołki i stać nieruchomo z rozstawionymi nogami. Strażnik przystawił jej czujnik do ciała i przesunął nim wzdłuż bioder, po wewnętrznej i zewnętrznej stronie ud.

— Pasek.

Wanda zdjęła pasek i włożyła go do plastikowej skrzynki.

— Och, przepraszam.

Uniosła rękę i pokazała im kluczyk, tak jakby o nim zapomniała. Spojrzała na obu strażników i uśmiechnęła się do nich. Obaj patrzyli na nią, czekając, aż włoży kluczyk do skrzynki.

— Proszę jeszcze raz przejść przez bramkę.

Mocno zakłuło ją w sercu.

Była pewna, że obaj strażnicy widzą, jak drży.

Przeszła przez bramkę.

Nic. Cisza.

Tym razem, ale tylko dzisiaj, muszą cię skontrolować. Nic więcej.

Stała spokojnie, a jeden ze strażników dał psu jej pasek do powąchania. Potem odebrała go i wsunęła w szlufki spodni. Odważnie wytrzymała ich wzrok i ruszyła w stronę pokoju spotkań. Pomieszczenie znajdowało się w samym środku zakładu karnego i było trochę jaśniejsze od innych.

Strażnicy zamknęli za nią drzwi od zewnątrz.

Już kiedyś siedziała na tym krześle. Rozejrzała się po pokoju.

Był niezbyt przyjemny.

Tak właśnie dzieliła wszystkie mieszkania i domy: na przyjemne i nieprzyjemne. Ten pokój był nieprzyjemny. Łóżko, w którym nikt nigdy nie spał, z plastikową ceratą wsuniętą pod prześcieradło; umywalka z pożółkłej porcelany i kran, z którego leciała tylko zimna woda. Zakratowane okno z widokiem na trawnik, który łączył siedmiometrowy mur więzienny z niemalowanymi zabudowaniami administracji.

Już nie jest jej zimno jak przed chwilą. I prawie wcale się nie poci.

Umyła ręce i wytarła je w papier z rolki przy łóżku. Spojrzała w lustro i jak zwykle uśmiechnęła się do siebie. Jej młodszy brat nazywał to „robieniem min do lustra". Poruszyła ustami, brwiami, poprawiła włosy.

Metalowe drzwi w więzieniu mają potężne zamki, które wydają szczególny dźwięk. Po chwili ktoś zaczął je otwierać. Najpierw rozległ

się cichy trzask, potem głośny.

— Macie godzinę.

Leon wszedł do pokoju.

— Najpierw przyjdziemy po ciebie, potem po nią. Okay?

Strażnicy, którzy przyprowadzili Leona, skinęli jej głową i czekali, aż odpowie im w taki sam sposób. Potem będą mogli wyjść i zamknąć ich na klucz.

Leon wskazał na łóżko. Usiadła na nim, a gdy znowu skinął jej głową, położyła się. Poduszka była twarda, przy każdym poruszeniu prześcieradła słychać było szelest ceraty.

Leon spojrzał na Wandę.

Wiedziała, jak powinna leżeć, gdy będzie rozpinał pasek i zamek błyskawiczny jej spodni i gdy potem zacznie je z niej ściągać.

Leon dotknął jej skóry, przesunął dłonią po kolanach i udach. Zdjął jej majtki, a gdy rozłożyła uda, przyłożył palec wskazujący i kciuk do jej warg sromowych.

⬩ ⬩ ⬩

— Rozluźnij się.

⬩ ⬩ ⬩

W końcu udało mu się dosięgnąć tego, czego szukał.

Plastikowa torebka.

Chwycił ją i wyciągnął.

Zważył w dłoni.

Dwieście gramów.

Leon, z plastikową torebką w ręce, uśmiechnął się do Wandy. Uśmiech był słaby, ale być może wystarczył, żeby i ona odważyła się do niego uśmiechnąć.

— Wrócisz tutaj dokładnie za czternaście dni.

Ciekawe, czy jest zadowolony, czy dobrze się sprawiła. Nie była wcale taka pewna. W końcu się uśmiechnęła.

— Jak będziesz tu jechać, włożysz sobie torebkę. Ale zanim wejdziesz, masz ją wyrzucić. Masz tylko pachnieć i nic przy sobie nie mieć.

Stali blisko siebie. Leon nie był od niej dużo wyższy.

Nie powinna była się do niego uśmiechać. Znowu odezwał się podniesionym głosem.

— Kapujesz, suko?

Jego ruchy były gorączkowe.

— Masz brzydki uśmiech, suko. Pamiętaj, masz pachnieć, ale masz być czysta. Kapujesz?

Poczuła jego oddech. Skinęła głową.

— Kapuję.

Leon spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: Kapujesz? Gówno kapujesz.

Przez cały tydzień rozpowiadał wszystkim, że spodziewa się wizyty. Chwalił się, kto go odwiedzi i kiedy znowu przyjdzie.

Dwieście gramów.

Każdy klawisz na oddziale w bloku D1 za dwa dni będzie wiedział, że trafił tam nowy towar. Wszyscy się domyślą, że stało się to właśnie w ten sposób.

Patrzył na nią tak długo, aż odwróciła wzrok. Położył dłoń na brzuchu. Poczuł ucisk, zwłaszcza po bokach.

Z paczki, która zawsze leżała obok rolek papieru toaletowego przy łóżku, wyjął osiem prezerwatyw i każdą z nich napełnił porcją narkotyku o wadze dwudziestu pięciu gramów. Potem wszystkie połknął i popił wodą z kranu. Niedługo je zwymiotuje — tyle że do innej umywalki, w innym pomieszczeniu.

— Reza.

Österåker, sto gramów.

— Uros.

Zakład karny w Storbodzie. Sto gramów.

— Pojedziesz tam teraz.

Aspsås, Österåker, Storboda.

Po jednej wizycie w trzech zakładach karnych co drugi tydzień.

— Tak, pojadę.

— Obaj dostali grzywnę, każdy po pięć tysięcy.

— Pięć tysięcy?

— Tak. Najpierw im dasz to, co mają dostać. A potem im powiesz, że mają grzywnę. Kapujesz, suko?

— Kapuję.

Leon podszedł do metalowej płyty na ścianie między framugą drzwi a lusterkiem. Przesunął palcem po czerwonym guziku, ale go nie nacisnął.

— A Gabriel?

— Co?

— Jego raport.

Leon nadal stał blisko, czuła jego ciepły oddech.

— Dzieciak wszystko sprzedał. Dziewięćdziesiąt tysięcy. Więcej będzie z Södertälje, a może i z Märsty.

Wanda mówiła cichym głosem, jakby nauczyła się słów na pamięć. Najważniejsze, żeby zapamiętała wszystko jak należy.

— Dwanaście domków jednorodzinnych w Salem i Tullinge. Sto czterdzieści tysięcy. Dwa haracze w Vasastan. Pięćdziesiąt tysięcy. Dwie duże beczki benzyny na stacji Shella w Alby. Dziewięć tysięcy. Jutro chyba sklep z komputerami.

Leon skinął głową. Wanda nie potrafiła ocenić, czy jest z niej zadowolony. Miała nadzieję, że tak.

— Jeszcze jedna sprawa. To ważne.

— Co?

— Gabriel kazał przekazać, że jeden z waszych telefonów jest na podsłuchu.

Leon nadal trzymał dłoń blisko czerwonego przycisku. Po jej słowach opuścił rękę.

— Który telefon?

— Mówił, że... Gabriel mówił, że...

— Pytam: który telefon, suko?

— Powiedział, że... ten, którego używasz wspólnie z Mihajlovicem.

Przypomniała sobie. Przymknęła powieki. Te jego oczy. Nie podobają jej się.

— Jesteś pewna, suko, że Gabriel tak powiedział?

— Tak.

Nie chciała stać tak blisko niego. Jego twarz była napięta. Zamiast ją uderzyć, znowu odwrócił się w stronę metalowej płyty na ścianie. Pochylił się nad mikrofonem i przycisnął czerwony guzik.

— Skończyliśmy.

W głośniku rozległy się trzaski.

— *Główna dyżurka.*

— Tu Jensen. Skończyliśmy.

— *Za pięć minut.*

Z trudem nad sobą panował. Coraz gwałtowniej oddychał, mówił coraz głośniej.

— Mieszkasz tam?

— Gdzie?

— Tam.

Za każdym razem, gdy jest już po wszystkim, kiedy tak stoją i czekają, pojawiają się te same pytania.

— Tak.

— W jego pokoju?

— Tak.

— Przez cały czas?

— Tak.

Znowu stał blisko niej. Zaczęła się bać.

— Ja wprowadziłem się tutaj, ty przeprowadziłaś się tam.

Kiedy Leon wyszedł, została jeszcze chwilę w pokoju. Towarzyszyło mu dwóch strażników, jeden szedł za nim, drugi przed nim. Prowadzili go w stronę podziemnego korytarza. Zatrzymali się przy pierwszym pokoju po prawej stronie, gdzie Leon musiał rozebrać się do naga. Jeden strażnik przesunął mu dłonią w gumowej rękawiczce pod

pachami i przeczesał włosy, a potem, kiedy Leon się pochylił, zbadał jego odbyt. Zabiję was wszystkich, myślał Leon. Na końcu dostał nowy komplet ubrań i ruszyli dalej prostym, szerokim korytarzem biegnącym kilka metrów pod więziennym spacerniakiem. Mijali zamykane na klucz bramy z kamerami u góry. Kiedy się do nich zbliżali, kamery zaczynały ich obserwować. Korytarzem doszli do bloku D i weszli schodami na piętro, na oddział w lewej części budynku.

♦ ♦ ♦

Przez cały dzień nic nie jadł. Kiedy wieczorem klawisze szykowali się do zamknięcia cel, zwymiotował do umywalki w łaźni z prysznicami. Rozdysponował pierwsze działki, a potem, już w swojej celi, złamał dwie kapsułki nad kubkiem z kawą, wymieszał mętny płyn małym palcem i wypił, zanim proszek całkiem się rozpuścił. Dolał więcej wody, żeby proszek nie zetknął się z językiem, i znów wypił. Resztę rozdzieli jutro rano, tym razem za darmo. Przez kilka kolejnych dób każdy więzień na oddziale będzie przyjmował zbyt dużą dawkę, i zbyt długo.

Tym razem będą cię tylko wypytywać i sprawdzać. Nic więcej.

Wyjrzał przez okno.

Masz tu wrócić. Dokładnie za czternaście dni.

Na dworze zaczęło się już rozwidniać.

Jak będziesz tu jechać, włożysz sobie torebkę. Ale zanim wejdziesz, masz ją wyrzucić. Chodzi o to, żebyś pachniała prochami. Niech sobie stoją ze swoimi psami, lekarzami i nakazem od prokuratora. Będą cię sprawdzać i przeszukiwać. Ale ty masz być czysta.

Za oknem wstawał świt. Zaczynał się nowy dzień.

Kiedy strażnicy pozamykali drzwi w celach, włączył lampę. Nie miała abażuru, więc świeciła mocnym, jasnym blaskiem. Usiadł przy zwykłym drewnianym stole, który w każdej celi stał przy ścianie pod oknem. Rozłożył na nim cienkie flamastry i kartkę A4 — z prawdziwej papeterii, którą więźniowie mogli kupować w więziennym kiosku. Kartki miały niebieskie linie. Po chwili namysłu zaczął pisać:

Miłość, drogi bracie!

Po napisaniu tych trzech słów rzucił flamastrami o ścianę, wstał z krzesła i krzyknął w stronę zakratowanego okna i metalowych drzwi: „Wszystkich was pozabijam!”.

Bardzo za tobą, kurwa, tęsknię.

Znowu krzyknął: „Wszystkich was pozabijam!”, ale tym razem skierował te słowa do ścian, podłogi i sufitu, łóżka i szafy, stołu i krzesła.

Ale mam nadzieję, bracie, że u ciebie wszystko w porządku. Aspsås jest luz. Braciszek Alex pozdrawia, przesyła ci miłość i szacun.

Po północy połknął kolejne cztery gramy. Potem trudno mu już było pisać, bo czuł się tak, jakby jego głowa nie mogła kontrolować myśli. Krążyły bardzo szybko, a kiedy na chwilę się zatrzymywały, nie umiał ich uchwycić. Przeczytał jedenaście zapisanych stron.

jest jusz noc, lato i licze do 4 w myślach i na głos. Nie możemy, bracie, poszaleć razem, ale jusz niedługo...

Doszedł do wniosku, że to, co wydawało mu się tak mądre, gdy pisał o ciemnościach i świetle, i o różnicy między murem siedmiometrowym a murem przezroczystym, to właściwie kupa bzdur, więc...

Wiesz, bracie, że w sprawie rodziny podejmuję słuszne decyzje. RW to już przeszłość, GS są uzbrojeni po zęby, to już oddział.

...gdy pierwsze oszołomienie po działce minęło, napisał nowy list. Policzył na palcach — dwadzieścia siedem dni; tak ma się to dalej toczyć, niech kontynuują.

Jedenaście stron.

Odłożył flamaster i wstał od stołu. Spojrzał na lampkę nocną i zgasił ją. Nigdy tego nie robił, dopóki na dworze nie zrobiło się jasno.

Za kratami, w tamtym świecie, wstaje słońce. To będzie ładny dzień.

Pierwszy poziom w bloku D.

D1, lewe skrzydło.

Cela numer 2.

Widać stąd prawie cały więzienny dziedziniec — popękany asfalt i niewielkie czworokątne trawniki porośnięte brązową trawą, a trochę dalej, w odległości około sześćdziesięciu metrów, szary ciężki mur. Wiedział, że musi go nienawidzić, że to ważne. Jednak nigdy tego nie czuł. Ani przed laty, gdy mur bardziej przypominał płot; ani później,

gdy na jego miejscu powstało prawdziwe ogrodzenie z drutu kolczastego; ani nawet wtedy, gdy pierwszy betonowy mur, jaki tu zbudowano — miał trzy metry wysokości — zastąpiono murem siedmiometrowym. Próbował go znienawidzić, pluł na niego, ale on nadal tu stał, chroniąc, strzegąc, otaczając ich z każdej strony.

Wszedł na chybotliwy stół i spojrzał ponad krawędź muru, gdzie słońce dotykało swą tarczą wieży kościelnej i drewnianych schodów. Przesuwało się powoli, jakby z wahaniem. Zauważył też na błękitnym niebie coś białego. Może chmury? Gabriel, *miłość, drogi bracie*, stał wczoraj po drugiej stronie muru, na wygrabionej piaszczystej ścieżce przed cmentarną bramą. Zawsze tam czekał, siedząc za kierownicą auta, kiedy ta suka, która próbowała coś przemycić, uśmiechała się do klawiszy. To jego pierwszy brat. Jedyny, któremu ufa. Jedyny, którego potrzebuje. Poznali się w trzeciej klasie. Tamtego dnia Gabriel siedział w którejś z przednich ławek. Na całym ciele miał pełno śladów po nakłuciach od igieł i wielkie dziury przy żyłach. Miał dziewięć lat i już był narkomanem. Poparzył się w jakimś domu, który całkowicie spłonął. Leon nigdy się nie dowiedział, jak do tego doszło. A może Gabriel po prostu nigdy mu o tym nie opowiadał? Lekarze zajmowali się jego skórą przez prawie osiem miesięcy, a on krzyczał z bólu. Kiedy wyszedł ze szpitala, nadal wypisywali mu recepty i robili zastrzyki z morfiny. A kiedy ból stał się trochę znośniejszy, obaj postanowili sprzedać część zapasów, których Gabriel już nie potrzebował. Jesienią, gdy zaczynali następną klasę, pokrywali już we dwóch jedną trzecią zapotrzebowania w całym Råby. Do morfiny dodali potem amfetaminę, bo na niej mogli więcej zarobić.

Leon odszedł od stołu i położył się na łóżku. Gapił się w żółty sufit, ale przy szafie zauważył biały kolor. Za to przy drzwiach i nad umywalką sufit był szary. Odchrząknął, zebrał ślinę na języku i powolnymi ruchami zaczął nawilżać miejsca, które go szczypały, duże bąble pokrywające język i te mniejsze, które porobiły mu się w głębi przełyku. Próbował wlać w siebie roztwór amfetaminy w taki sposób, żeby sobie jak najmniej zaszkodzić, ale niezbyt mu się to udało. Teraz czuł silne pieczenie w ustach. Będzie je czuł przez całą następną dobę, a może nawet dwie.

Szczęk klucza w zamku. Drzwi się otworzyły. To znak, że już siódma.

— Dzień dobry.

Strażniczka pochyliła się ku niemu, szukając jego wzroku.

Nie odpowiedział na jej powitanie.

— Dzień dobry.

Strażniczka nie odejdzie, dopóki jej nie odpowie, więc uniósł rękę i dał znak, że słyszał i że żyje, bo właśnie o to jej chodziło. Nie miał zamiaru zawracać jej głowy swoimi bąblami.

Wstał z łóżka, list nadal leżał na stole.

Bracie, UZBROJONY po zęby, ZAMKNIĘTY oddział!!
200% miłości, szacunku, dómy, braterstwa, obowiązku,
poczucia wspólnoty, honoru.

Przejrzał jedenaście stron listu, ze stosu ubrań pod stołem wziął czyste majtki, a z półki w niewielkiej szafie na ubrania ręcznik. Wyszedł ze swojej celi o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych i ruszył naprzód korytarzem, w którym budziło się życie. Minął osiem cel po obu stronach, kącik telewizyjny, stół bilardowy, kuchnię i zatrzymał się tuż przed „akwarium". Tak nazywali oszkloną dyżurkę, gdzie siedzieli klawisze. Spojrzał na sukę, która przed chwilą zaglądała do jego celi, żeby wymusić na nim poranne „dzień dobry". Nie odwróciła wzroku. Zaczął na jej oczach wykonywać takie ruchy jak w czasie stosunku płciowego. Powinna odwrócić głowę albo spuścić wzrok, ale nie zrobiła tego, tylko nadal na niego patrzyła. Skręcił więc w stronę szarych drzwi z zamgloną szybą i wszedł do łaźni. Ze środkowego prysznica płynęła gorąca woda. Kąpiel dobrze zrobi jego skórze. Woda parzyła go w szyję, ramiona, klatkę piersiową, czuł się coraz bardziej rześko. W pewnej chwili do środka wszedł Alex. Leon skinął mu głową. Alex był wysoki, miał bladą cerę, dziewiętnaście lat i cieszył się jego zaufaniem. Żaden z nich się nie odezwał, bo obaj mieli owrzodziałe języki i gardła. Leon spojrzał na jego członek — gdy Alex brał prochy, nie pisał listów, tylko się onanizował. Miał zaczerwienione z niewyspania oczy i poczerwieniały, smętnie zwiotczały napletek. Nadal obejmował członek drżącą dłonią i się zaspokajał. Po raz pierwszy starli się w internacie szkolnym w Örkelljunga. Zostały mu trzy ślady na prawej piersi od uderzenia ostrym kastetem. Nadal są widoczne. Ten skurwiel był zbyt natarczywy. Kilka lat później, gdy siedzieli w poprawczaku w Bärby, doszła kolejna blizna: ciągnęła się od lewego ramienia aż do biodra i miała jaśniejsze brzegi. Alex znowu spróbował, ale on złapał go za lewe ramię i przeciągnął go po ziemi przez cały dziedziniec.

Gorąca woda. Przymknął oczy.